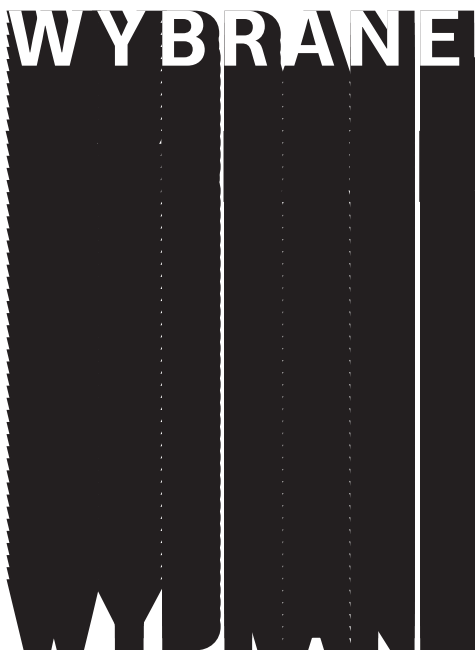




**Bogusław
Kierc**

Poblýskiwanie

Jasne, są sprawy niejasne: wtykanie
w nie przeznaczoną na to ofiarę i nie
gotową, by ją ranił promień czy pęk
promieni. No w każdym razie – pęd a nie
pręt sondy z prądem myśli tej: jeśli poślinię,
łatwiej mi będzie wcisnąć go do twych wnek –
ponętniej od tej strony niż od przodu
olśnienia eksponowanych, gdy muszę
się chować za plecami cacka, by je mieć
za chłopca na posyłki do Żmigrodu
po węża, który mógłby do pokuszeń
przydatny znowu się okazać, spławić płęć.

Aria

Stał goły w śmieciach siwych włosów, strząsał
strzępy strzyżonej mierzwy, wokół stóp
miał teraz jakby sierść podłogi; on sam
widział się kątem oka w lustrze: trup
chłopca pionowo zestrojony z struną
g z radia, które rzeziło, gdy już
odbijający się z odbitym frunął
pod siódme niebo w aureolach zórz
wieczornych; i tak skudłona suwnica
podłogi wiezie martwego, choć stał
jak żywy – rzekłbyś dalej się zachwyca
tym, co na strunie g tam w radiu gra.

Z Empedoklesa

Znowu byłem dziewczynką,
chłopcem, krzakiem, ptakiem
i nurkującą rybą –

tyle, że tym razem
byłem nimi natychmiast
i w jednej postaci

starca, pośród dziewczynek
i chłopców, skrytego
w płonącym krzaku;

rżeniem mewy śmieszki
śmiejącego się z siebie
samego, bo widzi

pod lodem lustra
nieba rybnie oko:
cierpliwie łypie.

Echo

Henrykowi Berezie

Był w lesie; wabił go chłopięcy głos
echa po jego wołaniu sprzed lat.
Na mchu cierpliwie rdzewiał stary grat
ciała, nad którym brzęczał chorał os;
po ekshumacji jakby, ale to
nie było pewne, pewny był ten ton
wołającego – i czyżby to on
tak przezroczyście stał obok, bo kto
mógłby go znaleźć tutaj, kto by chciał
wchodzić do lasu, po którym już ni
miejsca ni czasu – jedynie się śni
opuszczonemu, by się trochę bał.

Tyrezjasz

Ślepy dziad, cap śmierdzący spermą
i szczyną, w niedopiętych spodniach.
A przed nim jego wierny giermek,
któremu w sobie niewygodnie,
więc się zatacza i wciąż broczy
krwią przezroczystą z ran miłosnych;
w tym rozchełstaniu, z tym warkoczem
jest *zajebisty* i żałosny.

Rzyga? Nie. Tańczy, uwolniony
z ciała i z chciwych objęć mistrza;
z krwią się przetoczył na tę stronę,
co od krwi jego przezroczystsza.

Celnik

Wszystko pogmatwał: przeciągnął przez krzaki
żyłkę i w poprzek drogi na konarach
napiął jak struny; *starannie się starał*,
żeby mu z tego wyszedł *jakiś taki*
zarys kryształu niedowidzialnego,
o jakim nie śnił żaden przechodzący
tędy, więc czeka, trzymając dwa końce
żyłki. – *Nie wgapij się w podrostka, przegoń*
go; to nie żaden posłaniec niebieski.
Ale mnie złapał. Zaraz go przeproszę,
że się wplątałem. Chce dwadzieścia groszy
za poplątanie i rozluźnia kreski.

Napis

Mam, poza blaskiem na morzu, te prawie niewyrażalne sprawy, odrobinę naciągające fabuły snów (przecież nie sprawdzających się nijak na jawie); choćby czekanie na wolną kabinę w sanitariacie (czytaj: toalecie); bo na mnie wyszło wejść po żółtodziobie miłym, co jednak – nawet tutaj – peszy, zwłaszcza, gdy jeszcze udami się czuje ciepłość, jaką zostawił po sobie na ebonicie sedesu – że przeszył mnie strach przed sobą; a jeżeli tu jest cela (ty powiesz: entelechia) twoich ciemnych oczyszczeń, czego nie udało się powybierać, a co się odwlekło w oczekiwaniu na Sąd i tu stoi sobie przed tobą? Byle jak na biało zamalowany na drzwiach napis *piekło*.

Romeo i Julia

Oto się dotknął ten węgiel warg moich.

Iz 6, 7

Czternastoletni Balthus gra Romea, w Julii sukni dygocze jego rówieśnik Biorn Spengler, piękny Norweg; no właśnie – chłopiec się przytulił do chłopca i pomyślał naiwnie: to węgle jego oczu poczułem na wargach i płacze, ale nie wiem i nie chcę wiedzieć, skąd się wzięło to niemęskie mazgajstwo, nie chcę wiedzieć, na czym to polega; czy płacze Julia czy Romeo, czy Klossowski de Rola czy Spengler, jedynie wiem, że węgle są z Księgi Izajasza, a nie z ognia zaproszonego w chłopcu czy „dziewczynie” – skazanych: ten – na sławę, „ta” – na rozstrzelanie.

Już nie

A potem – już nie.
Norwid

Ani mną, ani nie mną
jest to nijakie ciemno
topniejące w jasności
dnia. Wywleczona pościel
utraciła ciepłość
ciała i przed namiotem
leży jak zwiędły żagiel.
A ciemno całkiem nagie
łazi sobie i pływa
w powietrzu, i w pokrzywach
się cieszy, choć je parzą
(a zwłaszcza – czuły narząd).
I, takie poparzone,
nasuwa się na żonę,
która nie wie, że ciemno
nie jest mną ani nie mną
i niczego nie widzi,
więc nie musi się wstydzić,
gdy czuje łaskocące
(bardziej niż zwykle) słońce.
Niemniej tu nie o porno
chodzi, ale o wolność
od swojego ciężenia,
od błędzenia w promieniach,
od pełzania w piwnicach,
od słońca, od księżyca,
od uporu pór roku;
chodzi o Święty Spokój.

Komu ty chodzisz?

Jezus chodził po morzu – z tego nie wynika
oczywistość chodzenia po wodzie nartnika,
ni to, że mucha żwawo chodzi po suficie,
że we mnie albo na mnie wyżywa się życie,
że nasze ciała leżą ze sobą osobne,
że szczerza prawda szczerzy nieprawdopodobne
zęby w szyderczym śmiechu, którego nie widzisz
ani nie słyszysz, kiedy sobie ze mnie szydzisz
patrzac, jak się przymilam odbitym niebiosom,
po których na przybrzeżnej łasze chodzę boso,
ale już nie po ludzku, nie po owadziemu –
chodzę Ojcu, Synowi, Duchowi Świętemu.

Uprzejmość

Ze dwa metry – no, może półtora – przede mną
szedł, że mogłem wyraźnie widzieć ornamenty
na skrzydłach, gdy rozkładał je, żebym daremność
zbliżenia się do niego wreszcie uznał; *święty,*
święty, święty wyszeptać mógłbym, lecz się zrywał
do lotu, kiedy śmiałem zmniejszyć dystans, a nie
uciekał. Czy prowadził mnie? Och, ta prawdziwa
skrzydlatość i spojrzenie na mnie! Mógłbym *Panie,*
nie jestem godzien mówić, ale byłem zgoła
zaskoczony, że zdarza mi się szczęście takie:
widzę przed sobą blisko jawnego anioła,
który zechciał uprzejmie okazać się ptakiem.

W polu widzenia

Siedział i patrzył na kamień omszały,
który łagodnie fale oblewały;
Bałtyk się jękał na tę samą nutę,
w polu widzenia siać sieci jął kuter,
gdy nasz samotnik wczytał się w omszałą
zielen kamienia jak w stronicę mszału,
i może było coś z liturgii godzin
w tym zaczytaniu, lecz nie o to chodzi,
żeby pobożne było porównanie,
kiedy widzący nawet nie jest w stanie
dociec, czy widzi to jeszcze przez siebie,
czy się rozpuścił w tym nie-wie czy niebie,
czy jest sam w sobie czy w swoim odbiciu
jeszcze za życia, czy już – nigdy w życiu,
jeszcze w namiocie czy poza namiotem –
chyba nie dowie się już nigdy o tem,
choć mu łaskawie rozchylała uda
(może się uda, może się nie uda)
czwarta czterdzieści; w półśnie i półjawie
czuł, że jest żywy i szczęśliwy prawie
i właśnie wtedy zaczął się rozplýwać
w żeńskim istnieniu, które nieraz bywa
istnieniem nieba; niewie-niebieściało,
aż przemieniło się w niebieskie ciało
światła, co siadło na kamień omszały,
który łagodnie fale oblewały.

Dedykacja

Czytam Ci to pod słońcem, o którym ja sam
piszę *czytam Ci to pod* i w tym sensie mam
względną wyższość nad Tobą, jeśli mogę tak
poufale do Ciebie mówić wierszem, wszak
nie znamy się na tyle, mój szanowny Czy-
telniku czy Telniczko, żebym wiedział, czy
czytujesz, czy też czujesz to samo, co ja
czułbym na Twoim miejscu, gdybym Ciebie znał
i dzielił z Tobą miejsce, ale właśnie nie
dzielę z nikim, bo jestem tu sam, no i chcę
być *sub sole* jak *nihil novi*, żebym mógł
plątać w bełtach Bałtyku te dwie z naszych nóg
i wtykać w piasek palce; nie wiem, ile ich
wtykam, i nadto nie wiem, czy potrzebna Ci
miara palców na miarkę ziarenek piasku, lub –
ile *ziarnka do ziarnka* wypada na grób,
albo z dołu do krycia się z działaniem pro-
kreacyjnym powiedzmy, zatem pierwszy krok
zrobiony, gdybym jeszcze Twoje imię mógł
poznać, zrobiłbym drugi, ale szkoda nóg
na *faux pas*; tak w druciku żarówki się tli
tkliwość: żar ów w drucikach tych słów, Sole mi-
o!

Szewski poniedziałek

Bądź uważny, nie przegap
Jego śladów na śniegach
wiecznych godziny szczytu
wstydlivego zachwyty,
czyli garbu na dobie,
kiedy tak leżysz sobie
pod pierzyną śnieżycy,
żeby tej tajemnicy
twojego chwilowego
wypuczenia, kolego
makolągwy po piórku,
które miałeś na biurku,
nie poznali ciekawi,
gdy ono ciągle krwawi;
więc może zdążysz teraz,
zanim umrzesz (umierasz?)
obrysować nim święte
stopy; pamiętasz zgięte
przed tobą na kolanach
ciało (mówiłeś *pana*
szewca)? – jak ci łaskotał
pięty, bo miałeś kota
w butach grać z tym bez szatek
prześlicznym małolatem
(rzecz nie byłaby warta
wspomnienia, lecz z Eckharta
wziął się Nagi Chłopczyna,

dlatego przypominam).
A ty wciąż leżysz sobie
pod śniegiem snu jak w grobie
nie dbając, czy się cało
ma pod nim twoje ciało,
czy się właśnie rozkłada,
kiedy pierwszy śnieg pada
i kładzie się na śniegach
wiecznych; ale nie przegap
(choćbyś nie miał czym patrzeć)
Jego śladów w teatrze
niebiańskim na suficie,
nim znowu wstąpi w życie,
a ty, oblany potem,
będziesz włożył na płótek –
(w butach) miauczeć z rozpaczą,
że już Go nie zobaczysz.

0. Naśladowanie

Zrzucam z siebie te śniegi, prześcieradła, lata,
biegnąc (po co?), czy – goniąc nie wiadomo za czym.
A już lód poszarzały przemienia się w wodę.
Mówię „biegnąc” a to jest takie, jakbym latał
w sobie – nie w tym, co mówi, lecz w tamtym, to znaczy
w tym samym (ale skrytym pod tającym lodem
przed tym mną), przemienionym w pole do latania
(bo nie powiem, że w niebo), więc tylko widziałem
wirowanie tak szybkie, że się wydawało
bezruchem, który także i lot mój pochłaniał
przejrzystością (będącą chyba moim ciałem),
ale to było – z ciała obnażone – ciało
spowite w taką nagość z ognia, co nie parzy
(wewnątrz kryształu wody idealnie czystej,
prawie nie odczuwanej przez wrażliwą skórę)
i w tym wirze zjawiona piękność Twojej twarzy
wyrwała mnie z tamtego mnie (czy nie-mnie), Chryste,
i – nie wiem, jak powiedzieć – utonąłem w górę.

Ósmy. Aliteracje

Miałem pewność, że to się jakoś musi mieć
do siebie w tym potoku prących w nas wyrazów
gniecenia się, wgniatania w siebie: pieśń, pleśń, płęć –
lecz co ma płęć do pleśni? Można by od razu
tak: pieśń – spoidło dwojga, którzy mają być
jednym, jakby w tym jednym gwałtownie wzbierało
pragnienie rozdwojenia; no to sobie idź!
Ale nie idzie nigdzie pogniecione ciało;
pleśnieje we śnie niczym na śmietniku chleb,
albo w pleśni śniegowej martwiejące żyto
pod septymą eolską wszystkich naraz nieb –
beczących, bo Baranka Bożego zabito.

10. Przejrzystość

Mrówka mi chodzi po zeszytce. Traktor
tryka tę ciszę poniżej winnicy.
Morze wtopiło się w niebo i, jak to
bywa po ciemku, nawet katolicy
włoscy czyhają na koniec niedzieli,
żeby tak trykać traktorami w nocy,
no i trykają. Gdybyśmy wiedzieli,
co tu jest grane, Mojżesz i prorocy
stanęliby nam przed oczami – żywi,
pijący wino, gadający z Głosem
Niewidzialnego, nawet byśmy dziwić
się nie musieli, byłoby nam dosyć
tej niepewności, że to tryk charkocze,
ledwie niedziela przeszła w poniedziałek.
Jak brzegiem nieba przemknął ten z warkoczem.
Smukły błysk słowa, co stało się ciałem.

17. Mam chusteczkę haftowaną

Chodziłem w twoich butach. W twych majtkach pływałem.

A twoim paskiem się opasywałem.

Z twoich talerzy jadłem. Piłem z twojej szklanki.

Z twojego łóżka zsuwałem się rankiem.

Jąkałem twoje słowa głupie i rozumne.

Na twoją miarę mam wybraną trumnę.

Ale tylko ty jeden podchodzisz najbliżej:

na tobie we śnie latam leżąc krzyżem.

Ostatni. Szczegół

Oprócz mnie, czterech w tym przedziale; dokąd
jedziemy, nie wiem, wiem tylko, że jadę
tam, dokąd jadę ja sam, ale żaden
z tych, którzy teraz śpią, nie wie; na oko
tak to wygląda, że razem jedziemy
do miasta, które na naszych biletach
ma taką samą liczbę liter, że ta
podróż jest chyba ostateczna, że my
jesteśmy także ostateczni, gdyby
nie to, że oni są młodzi. *Ten starzec,*
który tu wtargnął, że się tak wyrażę –
jak buc, istnieje właściwie na niby
i gdyby zasnął, to byśmy dobili
dziada do dechy snu wiecznego; pora
by zasnął w Panu, ale nie śpi – to raz,
a dwa, że czuwa tu nad nami, czyli
niech sobie żyje, dopóki nas strzeże
przed tymi, którzy sprawdzają, czy nie ma
wolnego miejsca pomiędzy czterema
nami i dziadem, ale jego pierze
na głowie i ten nasz uśpiony wigor
ich odstrasza, więc sobie jedziemy
w piątkę i razem uprawiamy przemysł
snów i skojarzeń nieczystych, a czy go
anieli porwą, czy diabli – niech w perle
sumienia sprawdzi; w jej wilgotnej czerni
niby w lusterku odbija się wiernie
ten (temu obok tężejący) relief.

Bogusław Kierc (ur. w 1943 roku w Bielsku-Białej) – poeta, krytyk literacki, aktor, reżyser, pedagog, edytor utworów Rafała Wojaczka, dramaturg. Uhonorowany Nagrodą PolCul Foundation i Medalem im. Anny Kamieńskiej. Mieszka we Wrocławiu. Wydał tomy poetyckie: *Nagość stokrotna* (1971), *Ciemny chleb* (1973), *Coraz weselsza, coraz mniej* (1978), *Ktokolwiek* (1980), *Niewinność* (1981), *Rezurekcja* (1982), *Modlitwa przeciw rozpacz* (1985), *Łagodny, miły* (1986), *Źródło światła* (1988), *Dla radości* (1992), *Boże ciele albo dziurka wesołości* (1994), *Sekundy* (1994), *Widzialne Niewidzialne* (1996), *Raz Na Zawsze* (1997), *Tyber z piaskiem* (1997), *Czary* (1999), *Zaskroniec* (2003), *Szewski poniedziałek* (2005), *Plankton* (2006), *Cło* (2008), *Rtęć* (2010), *Manatki* (2013), *jatentamten* (2017), tomy szkiców: *Przyboś i* (1976), *Teatr daremny* (1980), *Wzniosły upadek anioła* (1992), *Moje kochanki* (2001), *Cel sfer* (2003), *Ciało z mojego ciała* (2005), *Rafał Wojacek. Prawdziwe życie bohatera* (2007) oraz tomy prozy poetyckiej: *Bazgroły dla składacza modeli latających*, *Cię-mność* (2014), *Karawadźje* (2016).